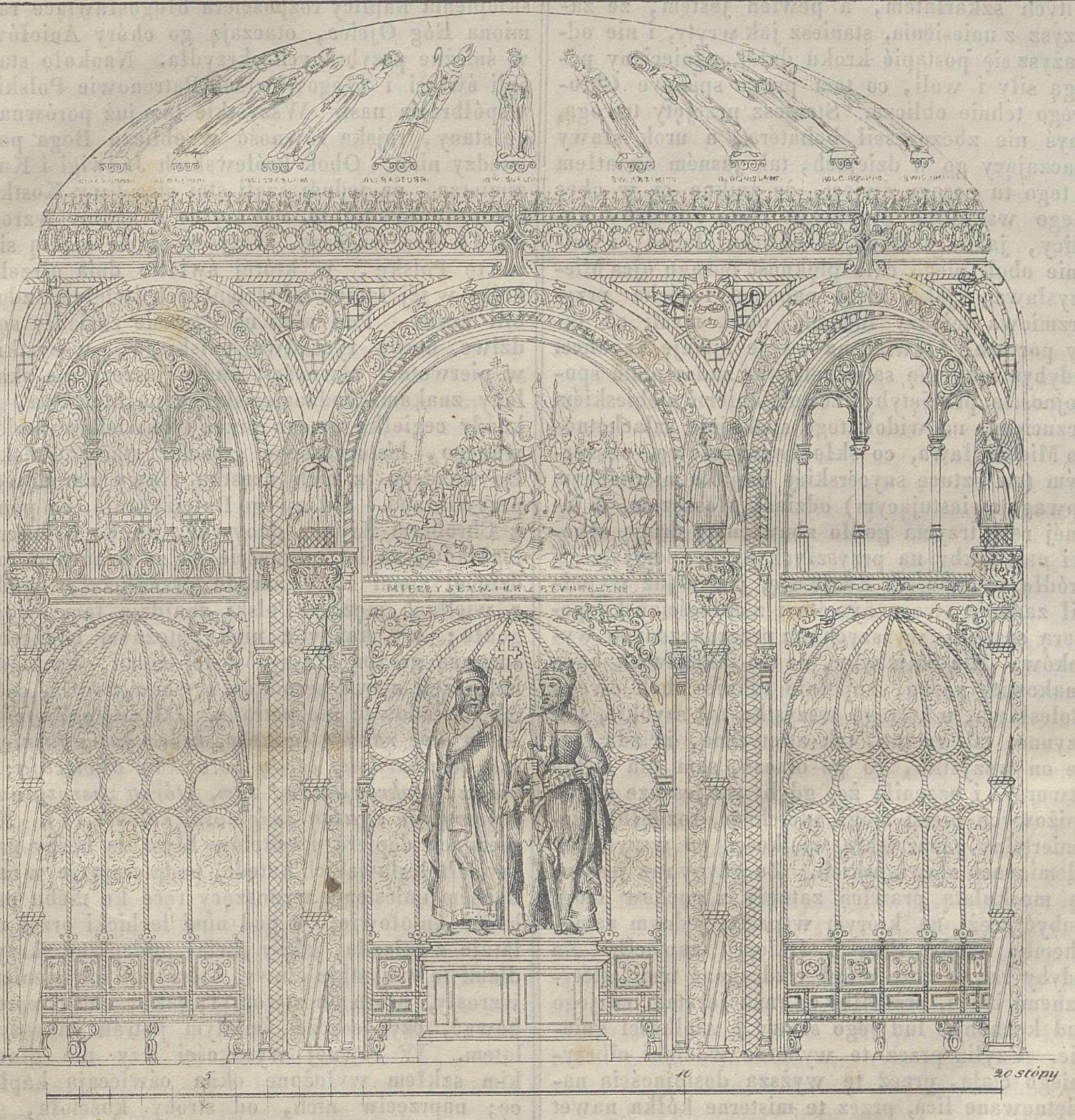
Przyjaciel Ludu.

ROK ÓSMY. **No. 30.** **Leszno,** *dnia 22. Stycznia 1842.*



Kaplica królewska w Poznaniu.

Kaplica królewska w Poznaniu.

Rzecz czytana na posiedzeniu literackiém w Gostyniu.

Jeżeli kiedykolwiek wędrowcu zwiedzisz Wielkopolskę, a twa nadzieja, ów urok historyczny, otaczający katedrę starego Poznania, rozwionie się na widok świeżo wybielonego kościoła, nie żałuj kroku, przestąp jego progi, a choćbyś jeszcze wynagrodzonym nie był widokiem owych na spiżu rytych Górków, co jakby strażnicy Pańskiego grobu, niegdyś naokoło grobowca wielkiego Bolesława stanęli, choćbyś przeminął bogatą w marmury ich kaplicę, i nie

uczuł jakiegoś dreszczu w żyłach, mijając przerażający w gankowym cieniu grobowiec Uryela, ich przodka; choćbyś nie raczył rzucić wzrokiem na owego z głazu kutego Powodowskiego, co za grzechy tego żywota, kiedyś tam jeszcze w kamiennéj postaci ofiary świętéj z dobytym słuchał orężem; idź za prezbiteryum, uchyl drzwi obitych szkarłatem, a pewien jestem, że zadrzysz z uniesienia, staniesz jak wryty, i nie odważysz się postąpić kroku daléj, zgnieciony potęgą siły i woli, co tam przez spiżowe Chrobrego tchnie oblicze. Staniesz przejęty trwogą, abyś nie zbezcześcił bohatéra, a urok sławy otaczający go w dziejach, tak jasném światłem z tego tu posągu świeci, że znikną ci w obec niego wszystkie byzanckie złota i ozdoby kaplicy, jako gwiazdy w obliczu słońca, i zniknie obok niego cała piękność posągu ojca Mieczysława, jako myśl nabożna i cicha przebrzmiewa między ludźmi, obok myśli co ludy porywa, i świat na swoje ujmuje kagańce. Gdybyś mógł się samą religijną zadowolnić spokojnością, przejętybyś został jakiémś niebieskiém uczuciem, na widok tego spokojnie szlachetnego Mieczysława, co skłoniwszy głowę, obszernym (w sztuce snycerskiéj niejako nieruchomą powagę zwiastującym) odziany płaszczem, w jednéj ręce trzyma godło zbawienia, drugą synowi nań jakby na przyszłych kraju pomyślności źródło wskazuje. Zdaje się, jakby już wypełnił zadanie swego żywota i z chrześciańską pokorą oczekuje wyższych mu przeznaczonych wyroków. Nie dziw więc, że ten jakkolwiek bądź znakomity posąg, zupełnie niknie obok owego Bolesława, u którego wszystko tak szybkie, tak czynne, tak rzutne, tak atletyczne, iż zda się, że on wszystko, co go otacza, sam dla siebie stworzył i uzacnił; że, gdyby raz jeszcze z tych spiżowych piersi mógł odetchnąć, rozdąłby nieśmiertelny pożar iskrą wielkości po wszystkich plemionach słowiańskich. Że gdyby raz jeszcze tą muskulatą prawicą zatęgły z pochew mógł dobyć oręż, na którym wsparty, jednym zamachem by wody Elby i Dniepru zamącił. Że gdyby raz jeszcze mógł wzdrygnąć temi atletycznemi barki, zrzuciłby od razu jarzmo, co jego lud kochany, lud jego sławy i wielkości gniecie. Czyliż przez te wydatne wdzięki olbrzymiego ciała, przez tę wyższą dostojnością napiętnowane lica, przez te misterne kółka nawet stalowéj zbroi wszędzie nie przeziera ów duch twórczego genijuszu, co także jakieś niebieskie światło z tego posągu wypromienia, iż rzekłbyś, że w téj spiży jakieś ukryte tleje wielkie życie, martwe, zatęgłe, nigdy się już zbudzić nie zdoła, a świécić przezeń będzie wieki wieków. Stanąłeś wielki królu po ośmiu wiekach, w spiżowéj postaci, w pośród tego ludu, któryś do godności narodu podniósł; w tym samym grodzie, w którymś wielkiego ducha wyzionął; w téj saméj świątyni, któréjś kamienie węgielne założył. Wszystko, co cię tu otacza, ma dawne twoje przypominać czasy; wszystkie sławy, któreś na twéj rodzinnéj posiał ziemi, stanęły tu obok ciebie, a nawet mury téj kaplicy przybrały się w godową szatę byzanckiego smaku owego wieku, któryś ty twoją napiętnował wolą. I cóż cię tu otacza? oto na środku złotego sklepienia kaplicy rozpościera błogosławiące ramiona Bóg Ojciec, otaczają go chóry Aniołów w śnieżne przybranych skrzydła. Naokoło stanęli święci i błogosławieni Patronowie Polski, współbracia nasi. Wszystkie tam już porównane stany, rajska równość w obliczu Boga pomiędzy nimi. Obok królewskich Jadwigi i Kazimierza, na jednéj szali stoi cierpliwy Kostka i uczony Jan Kanty. Wszyscy błagalny wzrok ku Twórcy wznoszą, wszyscy razem modlą się za tę Polskę, w któréj światło dnia ujrzeli, którą w jéj latach młodzieńczych świętymi zdobili czyny. Pod nimi na gzymsie zasiadły sędziwe herby rycerstwa polskiego, wszystkie w pierwotnéj równości, żaden jeszcze nie skalany znakami cudzoziemskiego pochlebstwa, a każdy cegiełką owego przez tyle wieków budowanego, historycznego gmachu staréj Polski. Do każdego z nich cząstka sławy narodowéj przywiązana. Od owego Dzierżykraja, co pono z Chrobrym Kijowa dobywał, aż do bohatera legionów, co lat trzynaście po za krańcami rodzinnéj ziemi życie narodu przedłużył, każdy z wielkich mężów Polski znajdzie tam swoje godło; ale każdy z nich potężnym bódźcem, straszną groźbą dla synów téj ziemi, bo biada im, jeżeli z win przodków się oswobodzić, cnót ich naśladować nie potrafią. *Bo zasługi ojców są to owe rażące światła, które im są jaśniejsze, tém bardziéj błędy potomków oświecają; i biada! stokroć biada! tym, którzy zaszczytami trumny nie zgaszą świetności kolebki* (1). Na piersiach dopiero kapitelów błyszczą herby naszych Bolesławskich katedr, podpierają je w nabożném uniesieniu wznoszący ręce ku niebu pobożni Aniołowie, a pod nimi lechicki orzeł ulatuje z gniazda, jakby chciał podeprzeć skrzydłami te wszystkie sławy, które pod ich cieniem wzrosły, które on stworzył; jakby chciał sprobować, czy jeszcze śmiałym potrafi zakrążyć lotem. W równéj wysokości trzy nie gładkim szkłem wyłożone okna oświecają kaplicę; naprzeciw nich, od strony kościoła, są trzy ozdobne loże, a na dwóch pozostałych ścianach ośmiobokie półokrągłe obrazy. Jeden z nich przedstawia Bolesława, klęczącego z Ottonem u grobu świętego Wojciecha, pędzla Brzozowskiego; na drugim Suchodolskiego Mieczysław kruszący bałwany. Nie pierwszy to obraz, który mi się zdarzyło widzieć,

(1) Mowa na obchodzie pogrzebowym ś. p. księcia J. Poniatowskiego, miana w Sedan przez półkownika Morawskiego.

tego malarza, ani też najlepszy. Może nasz ziomek, co przed kilka dopiero laty walczył pod murami Warszawy, nazbyt miał przepełnioną duszę świeżych i wojowniczych wyobrażeń wspomnieniem, aby się dokładnie mógł przejąć myślą religijnego przedmiotu, i upoetyzować pędzlem spokojnego monarchę ludowi swemu, przynoszącego światło wiary. Kaźi szczególniéj ten obraz nieszczęśliwy martwy koloryt, pozbawiający wszystkie postacie wdzięku wypukłości, a zatem życia tego niedostrzeżonego niewidzialnego ruchu, który nawet twardym kamiennym i ciężkim metalowym postaciom znakomici sztukmistrze nadać umieją. Na czole i postawie Mieczysława nie dojrzeć tam owego twórczego zapału, co to fanatyczne przywiązanie do swéj idei zwiastuje, ani owéj potężnéj i zimnéj rozwagi, co czoła wielkich przekształcicieli, jakoby ciemnym wieńcem zdobić zwykła. Powiem raczéj, że jakaś nieudolność obojętna wyryta na jego licach. Słyszałem nawet znawców ganiących układ w rozstawieniu gromad: owe brzydkie bożyszcza na samym przodzie obrazu. Zdaniu temu nie mogę być powolnym, wszakże owe Bóstwa skruszone są rzeczywistą treścią obrazu. Wszakże nawet Rafael w swojém Przemienieniu, odrażającego opętanego bez żadnéj przyczyny w pierwszéj gromadzie umieścił. Ma przecież i ten obraz swoją rzeczywistą zaletę, a nią jest cudownie piękna dokładność rysunku, w najdrobniejszych szczegółach doskonała. Cisawy rumak niesie tam w zieleni przybranę dziewicę, co tylko pod polskiém mogła wzrość niebem, a po jéj licach tyle już przeszło żalów, cierpień i nadziei, że nieledwobyś w nich wyczytał całą przeszłość Polski. Jest tam jeszcze młody rycerz w skrzydlatym szyszaku, zbrojne wiodący zastępy; z zuchwałéj jego postawy, z tego dumnego czoła, od razu odgadniesz, co się pod tym twardym gotuje pancerzem; takim tylko skroniom korona przystoi, takie tylko prawice godne piastować berła wielkich ludów, potężną dłonią ważyć ich losy. Są tam nakoniec jeszcze w kilku gromadach rozstawione, owe szczere, prostoduszne, pobożne, bogobojne postacie naszych włościan; dzisiaj jeszcze po wszystkich częściach dawnéj Polski, znajdziesz te same piętnem tylu wieków nieskażone rysy, w całéj ich pierwotnéj i prawie dzikiéj świeżości. Kruszą tam z pośpiechem bałwany, z ślepym popędem biegną ku nowéj wierze, a po owych surowych twarzach, które prawie nadludzki oświeca zapał, któżby nie poznał, że to praojcowie tych, co pod Racławicami, piękniejszą jak wszystkie inne w dziejach Polski, zapisali sobie kartę.

Ale opuśćmy wyższą sklepioną część kaplicy, i przypatrzmy się temu, co nas w okręgu naszego wzroku otacza. W drzwiom przeciwległéj ścianie ośmioboku, w dość głęboko wpuszczonym wmurku, na podnożu marmurowym, weneckim kunsztem, czarownemi, świeżemi, nieledwie woniejącemi zasłanem kwiaty, stoi w kształcie sarkofagu złocony ołtarz. Łańcuch skrzydlatych główek anielskich opasuje go do koła, nieco niżéj w złoconych i w ostre łuki zasklepionych ramach, otacza go szereg nadobnych Aniołów, misternie dłutem ciosanych. Nad stołem mszalnym umieszczony będzie mozajkowéj roboty obraz Matki Zbawiciela według znanego Wniebowzięcia Tiziana, z napisem kilku pierwszych wyrazów *„Boga Rodzicy.“* Po obu stronach ołtarza, również jak i po obu stronach przeciwległych mu drzwi, są nieco wypukłe, półokrągłe wmurki; od dołu zakrywają je ławki, snycerską robotą, gockim stylem ciosane, szkarłatnemi i złotemi gałkami strojne, prostotą i czystością smaku w kształcie nadobne. Po nad niemi na złoconém i w różne mocniejsze złota odcienia, arabeskami zasypaném tle, ulatują, jakby w jednym chórze, Aniołków hoże oblicza, jakby jeszcze do tych gromad anielskich, co na ołtarzu pod gzymsem i na sklepieniu kaplicy się roją, dołączyć chciały swe pienia. Każdy z wmurków jest oprawny w potrójną ramę z ciemno-zielonego warkocza złotéj koronki, i jakby w pałąk nad nim przegiętéj złoconéj trzciny. Nad sklepieniem każdego w narożnikach zielone smoki trzymają w paszczękach (2) złocone litery pierwsze nazwisk obu monarchów. Pomiędzy wmurkami zaś na ciemnogranatowém tle, cudownie pięknemi arabeskami zasłaném, ciągną się ku górze, aby podeprzeć kapitele w gockie sploty zwijane, srebrną koronką odziane kolumny. Pierwszy to raz zapewne sztukmistrze obok błękitnego zielony, te tak przeciwne sobie w zasadach cieniowania położyli kolory, a przecież z owym byzanckim smakiem, z owém bogactwem złota, arabesków i koronek, nader piękny nastręczają widok, i rzeczywiście jakiś od razu w oczy uderzający i przy tym jaskrawym blasku złota mile odbijający posępny wdzięk dodają całości kaplicy. Dwa pozostałe wmurki, również arabeskami i chórem Aniołów ozdobne, są bardziéj wpukłe i głębiéj sklepione. W jednym z nich świeci martwą białością z piaskowca ciosany grobowiec. Kryje on kości królów; przez tyle wieków, tyle pożarów i tyle zburzeń, zdołano te miłe pamiątki przechować. Niechaj to świadczy, jako ludowi są drogie. Na grobowcu, gockim smakiem ciosanym, stoją dokoła jakoby pod łukami kamienne postacie; od razu cię zadziwi stara zczerniałość dwóch narożnich, tak od świeżéj i nie miłéj białości reszty, nadobnie, że tak rzeknę, odbijająca. Po niezgrabnie ciosanych rysach, łatwo odgadniesz, że

(2) Smoki te, również jak i arabeski, wzorowane są podobno z spiżowych drzwi katedry gnieźnieńskiéj, które Chrobry z złotéj bramy tam miał przywieść.

już wiele przeżyły wieków. Są też jeszcze zabytkiem owego pierwotnego grobowca królów, co niegdyś na środku téj świątyni się wznosił i dopiero przed stu laty, przez zawalenie się wieży kościelnéj, zgruchotany został. Jedna z tych postaci przedstawia sędziwego męża, co skłoniwszy nieco głowę, niby na otwartą spoziera księgę, którą w ręku trzyma; drugą jest król w koronie, miecz lub berło dźwigający w dłoni, śmielszy z postawy. Dziwneż to i szczególne losu zrządzenie. Jak gdyby Nemezys w tych dwóch odłamkach chciała była przechować postacie męża, co głosił światło ewangelii, i króla, co mieczem i berłem stworzył sławę narodu. W przeciwległym wmurku na marmurowym podnożu stanęli obadwaj królowie, z żółtego spiżu ulani, na koronach, mieczach i krzyżu, w kosztowne kamienie strojni. Zdaje się, iż ten złoty blask metalu, te błyszczące kamyki, powinnyby razić oko, estetycznéj szkodzić piękności, a przecież nie, i owszem jak najlepiéj do nich przystoi w złoto i jaskrawe kolory byzanckim smakiem ozdobna kaplica, dziwnie harmonijną z niemi tworząc całość. A nawet ta ciemna mozajkowa posadzka z owym jaskrawym wieńcem na środku, tak nader korzystnie przy tym złotoblasku odbija, iż zdaje się jakoby nieodzownie była potrzebną, jakoby piękności kaplicy o wiele przysparzała. I czyjemże to wszystko dziełem? Oto naprzód sprawą wielkiéj narodowéj bez wzgląd na datek o miarze chęci tylko aż po najuboższych klassach ludu zbieranéj składki. Potém starań, znajomości sztuki, znacznych nakładów, jednego męża, co imię swe obok Załuskiego, Czackiego, Ossolińskiego, na pomniku sławy narodowéj wyrył, wszędy i w każdéj chwili wierny swemu godłu: *Polakiem jestem i nic polskiego nigdy mi obcém nie będzie.*

Pewien atoli jestem, że nieopuścisz téj kaplicy, aby twój wzrok w jéj obrębie nie skonał na tych postaciach królów. Powracać będziesz do nich razy kilka, najmniejszą drobnostkę badawczém zniepokoisz wzrokiem, bo wielka piękność w rzeczach tak samo do siebie przyciąga, jak w sprawach ludzkich myśl wielka. Podziwiać tu jeszcze musisz tę czarującą piękność sprzeczności w obu posągach. W jednym tyle pokoju, pokory i uległości; w drugim tyle wrzącego ruchu, zuchwałéj odwagi, nieugiętéj i wielemożnéj woli. Podziwiać będziesz u Bolesława te zimną i rozumną rozwagę, obok tego świetnego zapału; te dziewicze słodkie usta, obok tego marsowo męzkiego czoła; tę młodzieńczą lekkość, obok tak olbrzymich kształtów potężnego ciała, odzianego w tak ciężką żelazną zbroję; podziwiać nakoniec będziesz i tego sztukmistrza, co przejęty wielkością przedmiotu stworzył dłutem swoje arcydzieło (3). A ostatnia myśl w obliczu tego Bolesława, co cię aż za próg téj kaplicy wyprowadzi, i długo, długo duszę twą niepokoić będzie, cofnie cię pamięcią o lat ośmset. Stanie ci przed oczyma ów świat zachodni, dziesięć wieków w chrześciaństwie stary, jęczący z rozpaczy i trwogi na myśl bliskiego i pewnego swego końca. Z głęboką cześcią spojrzysz na grób wielkiego Franków Karola, co jakby ostatni już mąż wielki téj ziemi, miał wątek dni jéj z sobą do grobu zabierać, i od tego grobu przez Elbę tylko, walną pomiędzy polami ich sławy granicę, jeden tylko krok w dziejach uczynisz, do kolebki naszego polskiego Bolesława, co wielkość pomiędzy mocarzami dziedziczną, jakby w puściźnie po Karolu odebrał, a ujàwszy w potężną dłoń losy sławiańskich pokoleń, światu na wschodzie nowe stworzył życie.

Pisałem w Marcu 1841.

J. M.

(3) Niezaprzeczenie najpiękniejszym utworem Raucha jest Bolesław; nawet ów bohater pruski Blücher, zdaje się, iż go tak natchnąć nie zdołał, bo tamten posąg o wiele pod względem sztuki niższy. Przypisać to niezawodnie należy wielkości przedmiotu, który każdego cudzoziemca nawet porywa.

Wyjątek z Dziennika podróży, odbytéj w r. 1839.

(Dalszy ciąg.)

Syra. Malta.

Przed wieczorem podpłynęliśmy pod samą Maltę. Widok téj niedostępnéj skały, piętrzącéj się do tego murami, basztami, wielkiego rodzaju fortyfikacyami, mającéj tylko dwie cieśniny, szerokości kilkuset kroków, a tém samem tak obronne, prowadzące do dwóch portów, otaczających z dwóch stron stolicę wyspy La Valetta, rozszerzających się dopiero w głębi wyspy; nasuwa zaraz myśl, o ile silną jest potęga woli, a bardziéj jeszcze myśli, panującéj w pewnéj epoce czasu, kiedy Napoleon, bez oporu, mógł zająć tak niedostępne miejsce. Wracając ze wschodu, musieliśmy wpłynąć cieśniną, po prawéj stronie sterczącego języka lądu, mocno ufortyfikowanego, do portu, nad którym wznoszą się nieskończenie wielkie lazarety i w którym okręty odbywają kwarantannę. Skoro tylko rzuciliśmy kotwice, przybył urzędnik angielski z lazaretu, by dowiedzieć się o liczbie podróżnych, a w skutku tego poczynić przygotowania do ich przyjęcia. Pierwszy rzut oka z okrętu w porcie, nie przedstawia nic więcéj jak mury, skały, lazaret i mnóstwo okrętów na kotwicach różnych krajów, a tém samem, mniéj więcéj i form architektonicznych; z jednéj tylko strony widać cząstkę terassu, na którym przechadzają się konno i pieszo, lub gdzie niegdzie żołnierza w czerwonym mundurze pod bronią, chodzącego na bastyonie; oto jedyne oznaki życia lądowego.

Doniesiono nam, że dopiero nazajutrz zostaniemy umieszczeni w lazarecie: miło nam było jeszcze jeden wieczór pozostać na okręcie, gdzie z kapitanem Maffre, prawdziwie morskim człowiekiem, i oficerami ciekawymi, przez sposób życia i widzenia zupełnie amfibiczne, w skutku tygodniowéj podróży, miłe zawarliśmy stósunki, a mimo tego dzień ten nie był dla nas straconym, rachował nam się bowiem już na poczet dwudziestu, które w lazarecie przebyć mieliśmy. Strzał armatni był znakiem spuszczenia flag wieczorem, wkrótce za nim odezwały się dzwony z miasta, wzywające na modlitwę; dziwne na mnie zrobiły wrażenie, smętne ale unoszące, pierwszy raz znów je słyszałem w kraju katolickim, europejskim, przez zwyczaje i położenie, po długiéj dla tęschnoty, którą czułem za krajem, podróży. W półświetle nocy południowego nieba, rozpoczęło się życie domowe, rodzinne; na każdym prawie okręcie inne odezwały się śpiewy, zabrzmiały rozmaite instrumenta, gdzieniegdzie taniec się rozpoczął, a wszędzie rodzinnie, po swemu, i mnie w téj chwili mocniéj serce biło, jak zwyczajnie, tęschnota żywiéj się czuć dała, szczególniéj gdy po długiém przysłuchiwaniu się, wszystko ucichło, a ja nic rodzinnego niedosłuchałem, dusza ma wtenczas boleśnie zabrzmiała najdotkliwszą tęschnotą. —

Cisza i pomrok skryły wszech stworzenie,
A nim się księżyc z głębi wód wyłoni,
Gwiazdy na niebie jak bóstwa promienie,
Jako brylanty błyskają z mórz toni.

Zaledwie czasem wietrzyk zaszeleści
Po gładkich falach spokojnego morza,
Pewnie przynosi z innych krain wieści,
Braciom mieszkańcom wodnego przestworza.

Zamilkła dudka Sycylii żeglarza,
Umilkł głos dziki, Neapolu syna,
Grek swoich męzkich pieśni nie powtarza,
Światło w okrętach wygasać poczyna.

I w mieście cisza, Malta w śnie spoczywa,
Śród miękkich wałów, jak morska dziewica,
Pomrok przeszłości, świetność jéj pokrywa,
Rycerzów krzyża nie jest już stolica.

Ja syn północy, w téj południa nocy,
Wsparty na maszcie, śród uroczéj ciszy,
Uchem się gubię w wietrzyku północy,
Może ojczystéj piosnki dźwięk dosłyszy.

Wietrzyk ten wieje z méj drogiéj krainy,
Za którą tęschnię, która dla mnie światem,
Może mi wionie, wieścią od rodziny,
A któréj miłość, życia mego kwiatem.

Krainy wschodu i południa ziemie
Mnie nie zczarują swojemi ponęty,
Śród cudów świata, wciąż tęschnoty brzemie
Za mą ojczyzną, gnębi mnie jak pęty.

Nazajutrz rano pożegnaliśmy pomost Skamandru, z którego tyle krajów, jakby w czarnoksięskiéj dioramie widziałem, i bezzwłocznie zostaliśmy umieszczeni w lazarecie. Na samym wstępie, zaraz miłe mieliśmy wrażenie o całéj instytucyi kwarantanowéj, nie będąc zmuszani do nudnych formalności, kadzenia rzeczy i osób, jakim się podlega w innych lazaretach, jak np. w Odessie. Towarzystwo naszego okrętu, dostało część wielkiego gmachu lazaretowego, odgrodzoną od innych żelaznemi kratami, tak, że razem przybyli, mogliśmy się schodzić razem używać przechadzki, na rodzaju terassu, szerokim dwadzieścia kroków, ciągnącym się od naszych mieszkań do morza, a długim, tak jak się rozciągała część gmachu przez nas zamieszkana, około stu kroków. Umieszczono nas po dwóch, w małych appartamencikach, składających się z dość obszernego salonu, dwóch maleńkich pokoików sypialnych i kuchenki, gdzie w każdéj chwili za pomocą rury, za odkręceniem kurka, można było mieć świeżą słodką wodę; co tak nadzwyczajna i rzadka jest dogodność w miastach nadmorskich południowych. Dostałem na współmieszkańca kapitana francuzkiéj artylleryi Brunch, który pod wszelkimi względami miłym mi był towarzyszem. Mimo wielkich upałów, nie cierpieliśmy bardzo od gorąca, nie tylko bowiem ściany i podłoga naszych mieszkań były z ciosowego kamienia, ale nawet sklepienia, zastępujące suffity. Rząd krajowy pomieszkanie daje darmo, płaci się tylko od najęcia łóżek, mebli, podług ilości tychże, jak kto żąda, i za stół, który także podług woli każdego mieć można. W ogóle jednak stół dobry, pożywny, na sposób angielski, ale kosztowny; wino tanie, nie smaczne, sycylijskie, z Marsala; książek i dzienników można na pierwszy rzut oka bardzo tanio dostać z czytelni z miasta; ponieważ jednak dużo mając czasu, wiele się czyta, a przeczytanéj książki nie wolno odesłać dopiero po skończonéj kwarantannie, czyli dniach dwudziestu, nazbiera się przeto wiele dzieł, od których dziennie płacąc, dużo cała zapłata wynosi. Najgorzéj z praniem, nie masz bowiem pralni w lazarecie, chyba, że kto najmie praczkę na dni dwadzieścia, którą zamkną także, do czego zawsze wiele kandydatek, a do miasta nie wolno nic, a tém bardziéj bielizny odsełać. Nieświadomi tych urządzeń, nie opatrzyliśmy się w praczkę, i po większéj części sami musieliśmy się zatrudnić praniem, a tureckie grube cybuchy, na których wałkowaliśmy bieliznę, zastępowały żelazka i męgle. Rano o piątéj wolno nam było używać kąpieli morskich przed lazaretem: woda w porcie jak zwykle nie zachwycająca czystością, jednakże dla urozmaicenia sobie życia, i dla ochłody, każdego dnia korzystało nas kilku z tego pozwolenia. Upał wielki zatrzymywał nas większą część dnia w mieszkaniach, wieczór zgromadzał całe towarzystwo na terass, zwiększone czasem znajomymi z miasta, z którymi przez dwie kraty wolno było rozmawiać. Po dziesiątéj zamy-

kano nas wszystkich na klucz w naszych mieszkaniach i wtenczas najbardziéj mogliśmy sobie wystawić sposób życia więźni, w porządnym kraju, bez udręczeń, które tamci cierpią z niepewności dnia wyjścia. W niedziele i święta, na przeciwległéj skale, w maleńkiéj kapliczce, gdzie tylko ksiądz i chłopiec służący miał miejsce, o szóstéj rano, odprawiała się Msza, dla nas i okrętów stojących w porcie. Szerokość portu, dzieląca nas od kapliczki, ledwie przez perspektywę dozwalała dojrzeć księdza, ale przy spokojnym czasie, dziwnie uroczo brzmiał dzwonek, ogłaszający podniesienie krwi i ciała Zbawiciela.

Na wszystkich okrętach katolickich krajów, zbierała się służba okrętowa, i klęcząc wznosiła głośno, śpiewem w swoim języku, modły pobożne, dziękując za szczęśliwe przeprawy, prosząc i nadal o łaskę niebios. Wzniosłym był widok tych różnorodnych narodów, w tylu językach, pod pięknem południowém niebem, łączących się w modlitwie, chylących korne czoła za dosłyszeniem dzwonka: nie jeden z tych okrętów nazajutrz miał opuścić przystań maltańską; może to ostatnia święta ofiara, któréj mogła być świadkiem ludność na nim się znajdująca, bo rozmaite przygody czekają żeglarza w jego morskiéj ojczyznie, i nikt nie wie, co mu Opatrzność przeznacza na dzień jutrzejszy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Klęska Żołkiewskiego pod Cecorą i nad Dniestrem.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

4. Octobris o południu samém, przyszliśmy nad rzekę Reut, polmi suchemi, szarańczy pełnemi, gorącem wielkiém, które i z chodu i od słońca i od dymów, któremi nas nieprzyjaciel, na okół pożary niecąc, dusił, ciężkie nam było, a co większa, żeśmy przecie wody dosiąc nie mogli, dla niesposobności miejsca, musieliśmy z daleka rzeki stać, a zatem nie dali nam do niéj Poganie, i rozumiejąc też, że nas już dobić mieli, mając znowu świeże przybytki wojsk swych, ledwo z godzinę wytchnąwszy, uderzyli na nas na koło zewsząd. Podobniejszego do zginienia czasuśmy nie mieli, w miejscu zewsząd otworzystém takiemi wojski otoczeni, garstce ludzi, których oko przejrzeć nie mogło, przed którymi ziemię tylko pod sobą widać było, nawet i słońce przez kurzawę ledwo świeciło. Nie był wierzę żaden nie tylko z Pogan, ale ani z nas, któryby był widział podobieństwo ujścia śmierci okrutnéj, albo cięższéj niewoli przynajmniéj, by był Pan sam jako mocny wojownik, nie ulubił jeszcze pokazać nam wielmożność swoję, że żadna wielkość wojsk zasłony ego świętéj nie przełamie, żebyśmy się wzdy aby na potém przeciw temu tak potężnemu nieprzyjacielowi, któremu mocą zdołać nie możem, umieli wypracować nie z płaczem ubogich poddanych, który pospolicie za nami z każdego noclegu niebiosa przebija; nie w strojach i zbytkach niepotrzebnych, nie w wysokiém a brzydkiém Bogu rozumieniu o sobie, ale w obronnych uczciwych chrześciańskich obyczajach, w błogosławieństwie bliźnich swoich, w posłuszeństwie starszych swych ostrem. Jakoż wierzę, że i to samo teraz błogosławieństwo nad sobą Pańskie, nie dla czego inszegośmy odnieśli, jedno żeśmy tę drogę jako dobrzy Katolicy w zupełném a ochotném posłuszeństwie starszych swych i nabożnie szli; wierzę, że Pan miał swoje upodobanie w owych staropolskich naszych obyczajach, gdyśmy się ruszając z każdego stanowiska, nie pijani, ale głodni, nie ubogie ludzie drąc, ale klęknąwszy pod chorągwiami, w oczach nieprzyjacielskich różnie, różni Panu Bogu nabożnie piosnki śpiewali, jedni *Salve regina,* drudzy *Ave maris stella,* trzeci *Sub tuum praesidium* i t. d. Uderzyli tedy wprzód na nas Poganie z prawego boku wielką mocą, ale zdarzył Pan Bóg, że się im zaraz koncepty pomięszały, bo za pierwszém do nich z śmigownic i działka jednego wystrzeleniem, dwie przednie zielone chorągiewki tak się im pomięszały, że ustąpić musieli. Obrócili się zaś nazad do Tatar, w ten kraj, gdzie Lissowczyków pułk stał, tam jęli naprzód z janczarek naszych mieszać, do których janczarów wyuzdało się naszych Niemców z muszkietami kilkunastu: i skoro ich znieśli z kopca, na którym się na nas zasadzili byli, posunęło się ich sześciu za nimi pod same tureckie chorągwie, a wtém też Poganie obaczywszy czas swój, z obu stron uderzyli i z czoła na te nasze ochotniki, co byli z szeregów wypadli, i zstarłszy onych sześciu Niemców, na drugich przyjechali do nas. Dał Pan Bóg i nam serca, żeśmy nieruszywszy się z miejsc swych, takiéj onéj nawałności pogańskiéj dali odpór, że z wielką swą szkodą odwrót uczynić musieli, a wtém też zaraz za nimi puściliśmy działka trzy, śrotami nabite, które taki w nich pogrom uczyniły, że nie tylko poprawić, ale ani obejrzeć się im na nas więcéj nie chciało, a noc też wtém nastąpiła. Myśmy zaraz szli w drogę środkiem Pogan na całą noc.

5. Octobris równo z słońcem przeszliśmy rzekę Kobełtę i nad nią zaś śliśmy aż do południa, gdzie nas z tyłu psowano janczarkami. O południu stanęliśmy nad tąż rzeką i gotowaliśmy się do potrzeby, aleć też już byli osłabli Poganie i dali nam pokój; my też pod niesporną godzinę ruszyli się zaraz na całą noc, która była nam bardzo szkodliwa; bo siła bardzo ludzi przez te 7 nocy i dni zmordowanych od chodu, głodu i snu, jedni omdlewając zostawali, drudzy idąc snem zmorzeni padali jak umarli,

i niżby obudzić się dać i wstać miał, wolał śpiąc wpaść w ręce pogańskie: trzy noce takie były, ale ta już najgorsza.

6. Octobris. O godzinie dziesiątéj na półzegarzu, przytarli na nas zewsząd przy wsi zapalonéj Serwirni nad wierzchowiną, tak, żeśmy im pole stawić musieli. Aleć tu nam Pan Bóg pobłogosławił, żeśmy im do razu omierzyli onę chętkę. Wtém bacząc Poganie, że próżno cały dzień koło nas się psują, widząc, że nam już tylko półtory mili do Dniestru, gdzieśmy się okopać myśleli, zwątpiwszy o nas, zostali, posławszy tylko Kantymira Murze z trochą Tatar wyprowadzać nas, a zostawki obrywać. A my też z przyrodzonéj nam jakiéjś lekkości, obaczywszy się wolnymi od Pogan i onych strachów, które nas cały tydzień w pięknym rządzie trzymały, rzuciliśmy się do pierwszych obyczajów zaraz, przeciw zdrowemu Jch M. PP. Hetmanów zdaniu, którzy nic nieodpoczywając, chcieli wieczorem w skok dociągnąć do Dniestru, żeby co prędzéj i trudów i pragnienia i głodu zbyć, a stanąwszy przy swojéj granicy, przy miasteczku, żywności i prochów (którycheśmy już nic nie mieli) dostać, z wielką swą sławą i pociechą wszystkiego Chrześciaństwa, pokazać Poganom i wszystkiemu światu męztwo narodu swego. Jęli zaraz przeczyć, radząc wojsku wytchnąć (a nie było za prawdę przyczém, wody ani żadnéj żywności nie mając), więc jedni zaraz, drudzy w nocy, jędni o północy, drudzy do jutra, a to najbardziéj dla tego, aby one żaki niedzielne cecorskie odzyskać i swawolę tę pokarać. Co czerń swawolna poczuwszy, mając po sobie słuszną wymówkę głodu i pragnienia, a czując się przy potędze, mało nie większéj niż był stan szlachecki, jęła się zaraz burzyć, i gdy tabor zataczano, aby go znowu sprawić, jęli gwałtem rozrywać i coraz to się gorzéj bestwić, że przyszli do tego, że oczywiście i w oczy jęli żakować (między któremi i moja kolaska była niepoślednia, bom miał na niéj prócz swego ubóstwa własnego, srebra od hospodara do 10,000) i towarzystwo bez wszelakiego względu i upatrowania zacności osób z koni zbijać. Przed wieczorem skoro się ta zamieszka poczęła, przedał się jeden z naszych do Kantymira i powiedział wszystkim, na co się zanosiło. Kantymir bieżał do Skinderbaszy i Gałgi, frasobliwych bardzo, obiecując im, że nas miał na tym ostatku dostać, tylko aby mu ludu dodali. Dał mu Gałga swoich chorągiew, z kilkunastą tysięcy, i tak cały on wieczór, aż do naszego się rozproszenia, wieszał się nad nami, czekając, rychłoli się sami pobijemy. Nacierał i samym wieczorem mało nie do północy z tyłu, na zadnie chorągwie Lissowczyków i innéj piechoty, ale nie był tak srogi, żeby nas rwać miał; a tymczasem jako iż ci zadni z Kantymirowymi uganiali, w taborze samym i w czole taboru, coraz to większa wrzawa i żaki bezpieczniejsze, że do tego ku północy przyszło, że się rzucili oczywiście na gwałt i swawolę, do czego ukazała im się droga niemała odbieżeniem od wojska niektórych starszych. Wtém JPP. Hetmani bacząc powagę swą i władzę znieważoną i podeptaną, musieli się radzi nieradzi puścić za tą swawoli naszéj nawałnością, do swéj zdrowéj rady nie mogąc nas przywieść; szli za naszą głupią, pokazując nam to do końca, że im przy nas nietylko niestraszliwą, ale owszem miłą śmierć być miała. Jęliśmy tedy radzić; jedni, aby zmniejszywszy tabor (około czego już i chodził pilno JMPan Marcin Kazanowski, jako i cały tydzień siła bardzo koło wszystkiego taboru pracował i swą dzielnością prawie trzymał go, że się dawno nie rozerwał) małą kupą uchodzić; drudzy aby kommunikiem ciężary wszystkie porzuciwszy; trzeci, na których uporze stanęło, żeby się spieszywszy konie zbatożyć i tak za końmi odstrzelewając iść w Imię Boże. Widzieli to PP. Hetmani, że to spieszenie na śmiech było, ale nieszanując swego nad wszystkich bardziéj zdrowia, zsiedli z koni. Wtém zaraz rozsypką, jedni z Jch Mościami, drudzy konie tych spieszownych pobrawszy, miasto batożenie, wciąż poszli, (czegom i ja doświadczył na sobie, bo mi z moją parą koni, którem naprzód dał do batożenia uciekł zły człowiek), trzeci przy woziech szli prosto do Dniestru. I tak każdy szedł na swoję śmierć i na swoje szczęście. Ci, co mieli Kalauzy, najgorzéj padli, bo powiedzeni w sidła Wołochom, którzy jednych bili, drugich Tatarom oddawali, wszystkich łupili. A Kantymir Murza też obaczywszy z swymi ludźmi tę naszę rozsypkę, uderzył na nas i zbierał jako ptaki w sieci. O nieszczęsna swawolo! któraś tak prędko tak zacny naród zwyciężyła, którego ośm dni nieodpoczywając, ani głód, ani praca żadna, ani moc półtora kroć sta i lepiéj tysięcy nieprzyjaciela przełamać nie mogła. Ja Panu Bogu i za sądy jego sprawiedliwe i za ojcowskie karanie, że nas nie siłą pogańską, ale namiż samymi, dla chwały imienia i Kościoła jego świętego pogubił, dziękuję. Ci wszyscy, co prosto ku Mohilowi bez wszelkich kalauzów szli, zdrowi uszli; prócz tych, co cierpliwości nie mając, w pław się przez Dniestr puszczali, których siła potonęło. Ci zaś, co za wodzami lub w prawo, lub w lewo się udawali, mało nie wszyscy poginęli. Jam drożyskiem prosto ku Mohilowi szedł, za innemi gromadami, które często przemijając i za najmniejszym okrzykiem lub z téj, lub owéj strony pogańskiéj, ile razy się odemnie odrywali, ginęli, jakby w przepaść rzucił. Mnie przecież grzesznego, stróż mój święty, cało do Dniestru przewiózł i przewoźnika zjednał. Za co niech będzie pochwalon Pan Bóg na wieki!



Widok miasta Pekinu.

Widok miasta Pekinu.

Gdy w obecnym czasie z przyczyny nieporozumień zaszłych pomiędzy Anglią a Chinami, oczy wszystkich zwrócone są na wschód, oczekując ważnych wypadków, ponieważ jak angielskie pisma doniosły, flotta Albionu kotwice swe rzuciła przy ujściu wielkiego kanału, prowadzącego do stolicy państwa, podajemy Czytelnikom naszym widok grodu Cesarza chińskiego, zdięty niedawno z natury, odsełając do danego jego opisu w P. L. r. VII., T. I. Nr. 9., str. 66.

Dochód Zygmunta III. i domu jego w r. 1606.

(Z współczesnego rękopismu.)

Żupy krakowskie, w których wyrzynają rocznie 20,000 bałwanów, czynią	300,000 złt.
Item w téj żupie przedają corok beczek 50,000, beczka à 1 grzywnę, czyni	80,000 —
W téjże żupie na każdy rok za sól warzoną biorą	40,000 —
Sól stochmalowa, zasyłana do Bydgoszczy, czyni	12,000 —
Skład krakowski czyni . . .	15,000 —
Żupa bocheńska arędowna czyni	40,000 —
Cła koronne przynoszą . . .	100,000 —
Do przeniesienia . .	587,000 złt.
Z przeniesienia . .	587,000 złt.
Intrata królowéj staréj z księstwa mazowieckiego czyni . . .	150,000 —
Brodnica czyni	26,000 —
Portorium gdańskie przynosi . .	80,000 —
Cła litewskie czynią	50,000 —
Brzeście litewskie przynosi . .	26,000 —
Grodno czyni	30,000 —
3 części litewskiego księstwa czynią	70,000 —
Sambor i żupy drohickie czynią .	70,000 —
Wielkorządztwo krakowskie czyni	15,000 —
Cła podolskie i krakowskie czynią	8,000 —
Kozienice czynią.	8,000 —
Olbora olkuska czyni . . .	12,000 —
Bielsko czyni	12,000 —
Sochaczew	8,000 —
Grudziądz	12,000 —
Sandomierz czyni	12,000 —
Młyny nowomiejskie i wiślickie czynią	12,000 —
Młyny gdańskie	80,000 —
Młyny wileńskie czynią . . .	14,000 —
Warszawa czyni	7,000 —
Województwo wileńskie czyni .	6,000 —
Z Mohilowa	16,000 —
Ogółem	1,311,000 złt.

Ówczesny złoty wartał dzisiejszych 8, groszy 8. A zatem dochód roczni domu króla polskiego w roku 1606. wynosił przeszło 10,837,600 złotych dzisiejszych.